
Rozdział I
Ośrodek zagłady Chełmno
nad Nerem (Kulmhof am Nehr)

1.

a) 1942, Warszawa-getto. *Jakub Grojnowski [Szlamek (Szlomo), właśc. Szlama Ber Winer¹], Relacja pt. "גבית-עדות פונעם צוואנג-קברן גרוינאווסקי יעקב" [„Świadcstwo przymusowego grabarza Grojnowskiego Jakuba”], Izbica Kuj[awska], Chełmno. Autor z Izbicy Kujawskiej, wywieziony 5.01.1942 r. do ośrodka zagłady w Chełmnie nad Nerem, pracował przy kopaniu grobów i rozładowywaniu ciał z samochodów-komór gazowych, opisuje organizację masowej zagłady Żydów i Cyganów; uciekł z obozu 19.01.1942 r.*

[1] Świadcstwo przymusowego grabarza Jakuba Grojnowskiego. Izbica Kuj[awska], Chełmno.

W poniedziałek, tzn. 5 I 1942, żandarmi w Izbicy² wezwali członków Judenratu, żądając ludzi do pracy; oświadczyli, że rozkaz ten w odróżnieniu od lekceważonych, jak to określili, przez Żydów rozkazów Arbeitsamtu³, musi być niezwłocznie wykonany. Rozkazali wyjść na korytarz i w międzyczasie sporządzili listę z nazwiskami około 40 mężczyzn, między nimi starych i chorych. Potem z powrotem zawołali Żydów i rozkazali przyjść również porządkowemu Kahału⁴. Dali mu listę około 40 osób i rozkazali im przyjść jeszcze tego samego dnia do żandarmerii. Tym, którzy przyszedli, odebrano dokumenty i puszczono ich wolno. Rozkazali stać się we wtorek 6, o godzinie 7 rano, z łopatami albo szpadlami i wziąć ze sobą chleba na dzień. Powiedziano im, że praca jest przewidziana na 1–2 dni, a potem ich odeślą. Byłem wśród tych 40 mężczyzn.

Znam nazwiska niektórych żandarmów: 1. porucznika Johane. 2. Meistera b[...]⁵ 3. żandarma volksdeutscha Schmalza. Było ich siedmiu. Jestem przekonany,

¹ Szlama Ber Winer, nazwisko przybrane Jakub Grojnowski (1911–1942), syn Icka Wolfa Winaera i Srency Bajle (Bajler), jeden z kilku uciekinierów z obozu w Chełmnie, w lutym 1942 r. jako pierwszy naoczny świadek złożył w getcie warszawskim relację o mordowaniu Żydów i Cyganów w samochodach-komorach gazowych, relacja obejmuje okres od 5 do 19 stycznia 1942 r. Zginął w ośrodku zagłady w Bełżcu w kwietniu 1942 r., dokąd trafił z getta w Zamościu. Więcej na temat autora relacji zob. Wstęp.

² Izbica Kujawska (pow. Koło), transporty z Izbicy (1000 osób) przybywały do Chełmna 14–15 stycznia 1942 r. Przed wojną w Izbicy mieszkało ok. 1400 Żydów, w pierwszych dniach września 1939 r. kilkuset osobom udało się uciec na wschód.

³ Urząd pracy (niem.).

⁴ Gmina żydowska (żyd.).

⁵ Nazwisko lub słowo trudno czytelne, brzmi Plecenider albo Flecenider (przyp. M. Siek).

że oni wiedzieli, do czego zostaniemy użyci. Powtarzam raz jeszcze: oni doskonale, w stu procentach wiedzieli, o co chodzi, a mimo to nikogo z Żydów nie ostrzegli. Odwrotnie – zostaliśmy, jakże gorzko, oszukani.

Prawdę mówiąc, nie chciałem stawić się we wtorek rano do roboty. Moi rodzice usilnie mnie jednak namawiali, twierdząc, że lepiej jest iść, że uniknę w ten sposób „obozu”⁶ pracy. Przyznam się, że już trzy razy udało mi się od obozu wykręcić.

We wtorek rano stawiło się 15 osób. Czekano do ósmej, lecz nie zjawił się nikt więcej, wobec czego żandarmi przystąpili do łapanek. Na ulicy i w domach złapano jeszcze 19 osób, 5 z nich zwolniono – byli to zbyt starzy ludzie bądź dzieci. Zostało więc – 14, razem z tymi, co się zgłosili sami – 29 osób. Sporządzono dokładną listę z personaliami tych dwudziestu dziewięciu. Tymczasem nadjechało auto z żandarmami. Przeliczono nas raz jeszcze i załadowano na ciężarówkę. Każdy miał przy sobie plecak z rzeczami. Nasza ciężarówka zwracała powszechną uwagę. Rodziny nasze były przekonane, że jedziemy na obóz pracy. Polscy przechodnie zachowywali się rozmaicie. Młodzi niekiedy wyśmiewali się i drwili, natomiast starsi płakali.

Jechaliśmy w kierunku Koła. Potem skręciliśmy na dąbiecką szosę w stronę Chełmna. Miejscowość ta była już wówczas głośna w całej okolicy, gdyż przed czterema tygodniami odbyło się wysiedlenie z Koła i Dąbia nad Nerem⁷. Krążyły różne przerażające pogłoski o tym, że nikt z wysłanych do Chełmna stamtąd nie wrócił. Nie wiedzieliśmy jednak dokładnie, co się tam stało. Od posłańców usłyszeliśmy o niejasnych pogłoskach, nie dowiedzieliśmy się jednak żadnych szczegółów⁸.

Przy szosie w Chełmnie staliśmy około pół godziny, po czym wjechaliśmy do pałacu. Jest to niezamieszкана rudera, jeszcze z czasów tamtej wojny; znajduje się po prawej stronie szosy, po lewej zaś jest kościół i wieś. Wszystkie zabudowania wokół kościoła zarekwirowało dla siebie gestapo.

Przyjechaliśmy do Chełmna o pół do pierwszej. W obydwu bramach pałacu stali gestapowcy, wartę zaś pełniła żandarmeria polowa. Za drugą bramą wypędzono nas z auta, kazano odłożyć plecaki i ustawić się w dwuszeregu. Odtąd komenderowali nami esesowcy w czarnych mundurach, tzn. reichsdeutsche wyższych rang. Kazano nam oddać wszystkie posiadane pieniądze i rzeczy wartościowe, potem odliczono 15 osób (byłem wśród nich) i zaprowadzono pod strażą żandarmów do pałacowych piwnic. Dowiedziałem się później, że było tam ok. 15 takich cel

⁶ c-c Słowo w j. pol. zapisane alfabetem hebr.

⁷ Dąbie nad Nerem (pow. Koło), transport z Dąbia (975 osób) przybył do Chełmna 14 grudnia 1941 r. Przed wojną w Dąbiu mieszkało ok. 1100 Żydów.

⁸ Z chwilą gdy do Warthegau dotarły pierwsze pogłoski o Chełmnie, zaniepokojone Judenraty zaczęły wysyłać do miast objętych wywózką posłańców, którzy mieli zdobyć wiadomości o losie wywiezionych. Z relacji zachowanych w ARG wynika, że wśród posłańców i osób ostrzegających Żydów przed Chełmnem byli Polacy, niektórzy z nich przyplacili to własnym życiem (wg przypisu Ruty Sakowskiej, *Dwa etapy*, s. 132).

piwnicznych. Naszą piętnastkę zamknięto w jednej celi, pozostałych zaś – czternaście osób – w drugiej.

Choć był jeszcze jasny dzień, w piwnicy panowała ciemność. Od volksdeutschów z obsługi otrzymaliśmy trochę słomy⁹. Na noc dano nam do celi lampkę. Wieczorem około ósmej podano nam czarną, niesłodzoną kawę i nic więcej. Byliśmy w rozpaczliwym nastroju, przygotowani na najgorsze. Prawie wszyscy płakali, całowali się i żegnali. Było bardzo zimno, tuliliśmy się więc jeden do drugiego i w ten sposób, bez zmruczenia oka, przetrwaliśmy tę mroźną noc. [2] Rozmawialiśmy wciąż o Żydach, których wypędzono z poprzednich miast: Koła i Dąbia. Sądząc z tego, cośmy widzieli, nabieraliśmy pewności, że stąd już się nie wydostaniemy.

W środę, 7 I o siódmej rano dyżurujący żandarm załomotał do drzwi z krzykiem: Wstawać! Lecz i tak nikt z nas nie spał z powodu zimna. Po godzinie przyniesiono gorzką czarną kawę i chleb z naszych paczek. Trochę to nas pocieszyło, szeptaaliśmy, że mamy jeszcze miłosierdzie Boga w niebiosach i że jeszcze pójdziemy do roboty.

O pół do dziewiątej (noce były długie, więc wypadło to tak późno) wyprowadzono nas na podwórze. Pozostawiono sześciu ludzi, których zaprowadzono do sąsiedniej piwnicy, by wynieśli dwu powieszonych Żydów (nazwisk nie znam). Byli to więźniowie grabarze z Kłodawy¹⁰. Zwłoki wrzucono na samochód ciężarowy. Spotkaliśmy się znowu z pozostałymi więźniami z Izbicy. Ledwośmy wyszli z piwnicy, obstawilo nas 12 żandarmów i gestapowców z ręcznymi karabinami maszynowymi. Było nas w samochodzie 29 więźniów oraz 2 trupy i 6 żandarmów z bronią maszynową. Za nami jechał samochód osobowy z około dziesięcioma żandarmami i dwoma cywilami.

Jechaliśmy szosą w kierunku Koła. Po przejechaniu około 7 kilometrów samochód nagle skręcił w lewo w głąb lasu¹¹. To był już utarty szlak półkilometrowy. Na jego końcu esesmani zatrzymali auto, kazali zejść i ustawić się dwójkami. Jeden z esesmanów rozkazał, żebyśmy zostali jedynie w butach, bieliźnie, spodniach i koszulach i wzięli każdy po szpadlu. Palta, czapki, swetry, rękawiczki i wszystko inne musieliśmy zostawić na ziemi, chociaż był srogi mróz. Dwaj cywile przynieśli szpadle i kilofy, rozdzielając po jednym każdemu z nas. Tylko ośmiu spośród nas nie dostało narzędzi. Kazano im ściągnąć te dwa trupy z samochodu.

Gdyśmy dojechali do lasu, zobaczyliśmy około 14 przymusowych grabarzy z Kłodawy, którzy prawdopodobnie przybyli przed nami. Stali już i pracowali w samych koszulach. Wyglądało to tak: 21 osób z kilofami i szpadlami, z tyłu

⁹ Chodzi o grupę ośmiu Polaków, więźniów poznańskiego Fortu VII, którzy zostali umieszczeni w Chełmnie do wykonywania prac pomocniczych.

¹⁰ Kłodawa (pow. Koło), transporty z tego miasteczka (1000 osób) przybyły 10 i 12 stycznia 1942 r.

¹¹ Masowe groby znajdują się w Lesie Rzuchowskim, oddalonym o ok. 4 km od Chełmna.

8 ludzi z dwoma trupami, a wokół nas Niemcy z karabinami maszynowymi. Kładowiaczy też byli pilnowani przez około 12 żandarmów. Byliśmy zatem okrążeni przez 30 żandarmów.

Z chwilą gdy zbliżyliśmy się do dołu, ci z Kłodawy powitali nas szeptem: skąd jesteście? – Odpowiedzieliśmy: z Izbicy. – Oni pytają: widzicie, jakie tu nieszczęście? Ilu was? Odpowiedzieliśmy: dwudziestu dziewięciu. – Rozmawialiśmy, nie przerywając roboty. Zrzuciliśmy oba trupy do dołu. Z samochodu przynieśli je tamci, co wciąż jeszcze nie otrzymali szpadli. Długo nie musieli jednak czekać, aż do nadejścia następnego samochodu z nowymi ofiarami. Samochód był specjalnej konstrukcji, mniej więcej wielkości zwykłego samochodu ciężarowego w szarym kolorze, hermetycznie zamykany na dwoje drzwi z tyłu. Wewnątrz był obity blachą, nie było tam miejsc siedzących. Podłoga wyłożona była drewnianymi listwami, jak w łaźni, i pokryta słomianką. Pomiedzy wnętrzem samochodu a kabiną kierowcy znajdowały się dwa wzierniki, przez które, przy użyciu lampki elektrycznej, kierowca mógł stwierdzić, czy ofiary są już uśmiercone. Pod drewnianymi listwami znajdowały się dwie 15-centymetrowe rury dochodzące do kabiny kierowcy. Przy wylocie znajdował się otwór, do którego wchodził gaz. Pedał gazowy znajdował się w szoferce. Kierowca w mundurze SS z trupa główką miał chyba około 40 lat, zawsze ten sam. Takich samochodów było dwa.

Samochód zatrzymał się w odległości około 5 m od grobu. Kierownik grupy strażniczej, esesman wyższej rangi¹², był wyjątkowym sadystą. Rozkazał owym ośmiu ludziom otworzyć drzwi samochodu i od razu uderzyła silna i ostra woń gazu. W samochodzie zabijano łódzkich Cyganów¹³. Leżały tu ich rzeczy: harmonie, skrzypce, pierzyny, a nawet zegarki i złota biżuteria. Po odczekaniu około 5 minut przy otwartych drzwiach esesman krzyknął: *Ihr Juden, herein und schmeisst alles raus*¹⁴. – Żydzi podbiegli do auta i wyciągali zwłoki. Ponieważ początkowo robota nie szła im łatwo, [3] nadzorujący esesman wyciągnął bykowca i wrzasnął: *Hellblaue, ich komme sofort zu euch*¹⁵ – bijąc po głowie, uszach, oczach, gdzie popadło, aż wszyscy zwalili się na ziemię. Kto nie potrafił się podnieść, natychmiast ginął, zastrzelony z broni maszynowej. Widząc to, pozostali resztkami sił starali się podnieść i podołać robocie.

¹² Prawdopodobnie Polizeimeister (sierżant policji) Willi Lenz, stał na czele komanda więźniów pracujących w lesie przy grzebaniu zwłok zamordowanych (niem. Waldkommando). We wczesnych godzinach rannych 18 stycznia 1945 r. został powieszony przez ostatnią grupę ocalałych żydowskich więźniów w budynku spichlerza w Chełmnie.

¹³ Transporty Cyganów z łódzkiego getta (4300 osób) przybywały 2–9 stycznia 1942 r.

¹⁴ Żydzi, wejść do środka i wszystko wyrzucić (niem. alfabetem hebr., także dalsze teksty w j. niem.).

¹⁵ Jasnoniebiescy, zaraz do was przyjdę (niem.). Więźniowie funkcyjni zatrudnieni przy grzebaniu zwłok nosili na ubraniach oznaczenia w kolorze niebieskim.

Z ciężarówki wyrzucano zagazowanych jak śmieci – na kupę, jeden na drugiego. Ciągnięto ich to za nogi, to za włosy. Na górze stało dwóch ludzi, którzy rzucali ciała na dół do grobu, a w dole stało dwóch innych, którzy układali je warstwami, twarzą ku ziemi w taki sposób, że przy głowie jednego leżały nogi drugiego. Kierował tym specjalny esesman. Jeżeli gdzieś był wolny skrawek miejsca, wpychano tam zwłoki dziecka. Wszystko przebiegało w bardzo brutalny sposób. Ten, który stał na górze z sosnową gałęzią w ręce, dyrygował, gdzie winna być głowa, gdzie nogi, gdzie dzieci i gdzie rzeczy. Wszystkiemu towarzyszyły wściekłe bicie i wrzaski: *Du Sakrament!* Warstwa liczyła od 180 do 200 zwłok. Po każdych trzech samochodach brało się około dwudziestu spośród grabarzy, którzy zasypywali zwłoki. Początkowo wypadało grzebać po dwa razy. Później, kiedy liczba samochodów urosła do dziewięciu (9 razy po 60 zwłok), wypadało zakopywać trzy razy.

O dwunastej komendant („Bykowiec”¹⁶) rozkazał: *Spadel stehen lassen*¹⁷. – Ustawił nas dwójkami i przeliczył, po czym kazał wyjść tym z dołu. Wokół nas wciąż jeszcze stała straż, która ani na chwilę nas nie odstępowała, tak że nawet potrzeby naturalne musieliśmy załatwiać tam, gdzieśmy pracowali.

Podeszliśmy do miejsca, gdzie leżały nasze rzeczy. Kazano nam usiąść ściśle jeden obok drugiego na paczkach. Wciąż byliśmy pod strażą. Dano nam po kubku zimnej kawy i kawałku zmarzniętego chleba. To był obiad. Siedzieliśmy tak z pół godziny, po czym znów ustawiliśmy się, przeliczono nas i odprowadzono do roboty.

Jak wyglądali zmarli? Wcale nie byli osmaleni, nie byli czarni. Kolor twarzy pozostał niezmieniony. Niemal wszyscy zmarli byli w ekskrementach.

Około piątej skończyliśmy robotę. Owym ośmiu, którzy zajmowali się zwłokami, kazano położyć się na trupach twarzami do dołu, potem esesman strzelił każdemu w głowę z karabinu maszynowego.

„Bykowiec” wrzasnął: *Hellblaue, flink sich anziehen*¹⁸ – Szybko ubraliśmy się i zabrali ze sobą szpadle. Przeliczono nas i pod strażą żandarmów i esesmanów odprowadzono do samochodów. Tu kazano nam odstawić szpadle. Jeszcze raz nas przeliczono i zapędzono do samochodu. Przyjechaliśmy z powrotem do pałacu. Droga trwała około 15 minut. W powrotnej drodze byliśmy już razem z kłodawiakami.

W samochodzie rozmawialiśmy po cichu. Powiedziałem moim kolegom: Moja mama marzyła o tym, by mnie zaprowadzić pod biały baldachim ślubny, teraz niedane jej będzie nawet towarzyszyć mi do ostatniego czarnego mojego ślubu. – Wszyscy wybuchli cichym łkaniem, lecz tak, żeby żandarmi siedzący za nami nie usłyszeli. Rozmawialiśmy bardzo cicho.

Pierwszego dnia miało miejsce następujące zdarzenie: O dziesiątej rano niejaki Bitter z Bydgoszczy, w czasie wojny zamieszkały w Izbicy, tęgi człowiek,

¹⁶ Prawdopodobnie Polizeimeister Willi Lenz.

¹⁷ Zostawić szpadle (niem.).

¹⁸ Jasnoniebiescy, szybko ubierać się (niem.).

jeden z owej ósemki, nie potrafił nadażyć z robotą. Esesman z bykowcem kazał mu się rozebrać do naga i razem z jeszcze innymi pobili go do nieprzytomności. Ciało szerniało mu jak wątroba. Potem kazał mu położyć się w otwartym grobie i zastrzelono go.

Okazuje się, że w pałacu są jeszcze inne pomieszczenia. Do naszej piwnicy weszło 20 osób, a do drugiej – 15. Więcej grabarzy wówczas nie było. Znalazłszy się w zimnej i ciemnej piwnicy, rzuciliśmy się na skąpą słomę i wybuchaliśmy głośnym płaczem. Ojcowie płakali nad losem swych dzieci, których już więcej nie zobaczą. Jeden z więźniów, Moniek Halter, piętnastoletni chłopiec z Izbicy, objął mnie i szlochał, powtarzając: Ach, Szlojme, niech ja sam padnę ofiarą, ale niechby moja matka i siostra przynajmniej ocalały. [4] Meir Piotrkowski, lat 40, z Izbicy, mój towarzysz z barłogu, obejmował mnie, tulił, całował i mówił: Zostawiłem w domu ukochaną żonę i ośmioro dzieci. Czy je kiedykolwiek jeszcze zobaczę, co się z nimi stanie? – Gerszon Praszker, lat 55, z Izbicy, powiedział: Mamy wielkiego Boga w niebie i musimy się do niego modlić. Bóg nas nie opuści. Lecz mimo to musimy teraz wszyscy odmówić modlitwę przedśmiertną. – Ustawiliśmy się wszyscy w koło, a Gerszon Praszker w środku, i odmówiliśmy tę modlitwę. Powtarzaliśmy za nim z wielkim szlochem i łkaniem. Nastrój był bardzo wzniosły. Ponieważ Wachtmeister walił w drzwi i krzyczał: *Hej, Juden, stillbleiben, sonst schiesse ich*¹⁹ – łamiącymi się głosami, po cichu ukończyliśmy naszą spowiedź przedśmiertną.

O pół do ósmej wieczorem przyniesiono nam garnek niekraszonej, zimnej zupy z brukwi. Nie mogliśmy przelknąć jedzenia, tylko cicho i gorzko płakaliśmy. Po pół godzinie przyniesiono czarną, gorzką, zaledwie ciepłą kawę i trochę z naszego chleba. I znowu z bólu i cierpienia nikt nie mógł jeść. Położyliśmy się na słomie, ale nikt nie mógł spać. Było zimno i nie mieliśmy żadnego przykrycia. Ktoś się odezwał: Kto wie, kogo z nas jutro zabraknie. W końcu, straszliwie wycieńczeni, przytuliliśmy się do siebie. Ogarnął nas koszmarny sen, pełen majaceń. Spaliśmy około 4 godzin, potem z powodu zimna zerwaliśmy się, chodziliśmy w kółko po celi i rozmawialiśmy o okropnym losie, jaki nas czeka.

W czwartek, 8 stycznia, o siódmej rano dyżurujący żandarm zapukał i gniewnie zapytał: *Ihr Juden, hat ihr euch ausgeschlafen?*²⁰ – Odpowiedzieliśmy: *Wir konnten nicht schlafen wegen der Kälte*²¹. O pół do ósmej kucharz przyniósł ciepłą, ale gorzką kawę z suchym chlebem. Kawa została nalana do szerokiej miseczki. Część z nas piła, ale większość nie chciała skosztować śniadania, mówiąc, że i tak czeka nas śmierć. O ósmej usłyszeliśmy nadchodzących korytarzem esesmanów. Żandarm zameldował, że w nocy z Żydami nic się nie wydarzyło. Esesman kazał otworzyć drzwi piwniczne (były zamknięte na trzy zamki i rygle). Oficer zawołał:

¹⁹ Hej, Żydzi, cicho, bo inaczej strzelam (niem.).

²⁰ Żydzi, czy już się wypaliście? (niem.).

²¹ Nie mogliśmy spać z powodu zimna (niem.).

*Alle Juden raus!*²² – sam pozostając na korytarzu (przypuszczaliśmy, że oficerowie SS bali się z naszej strony jakiegoś rozpaczliwego kroku), przeliczył nas, gdy wychodziliśmy na zewnątrz. Na podwórzu rozkazał ustawić się dwójkami, drugi esesman znowu nas przeliczył, potem rozkazał nam wejść do ciężarówki. W ogóle do roboty i z powrotem wiozły nas 2 samochody: ciężarówka kryta plandeką i niski samochód osobowy ze szklanymi szybami po bokach (autokar), oczywiście oprócz samochodów esesmanów. Myśmy w samochodzie stali, za nami stało 6 żandarmów z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału. W ciągu całego mojego pobytu w Chełmnie teren podwórza, gdzieśmy się znaleźli po wyjściu z piwnicy, był ściśle strzeżony przez żandarmerię połową z gotowymi do strzału karabinami maszynowymi. Podczas przejazdu do roboty jechało za nami auto z esesmanami.

Na miejscu wszystko odbyło się tak samo jak poprzedniego dnia. Po wyjściu z samochodu policzono nas, ustawiono rzędem i ponownie przeliczono. Potem wybrano spośród nas ośmiu (tych, którzy nie potrafili dość energicznie kopać). Ludzie ci, milcząc i z opuszczonymi głowami, wyszli z szeregu. Przed powrotem do wczorajszych stanowisk roboczych, każdy do swojego, wszyscy jak zwykle musieli się rozebrać, pozostaliśmy w butach, spodniach i koszuli (jeden, który miał na sobie dwie koszule, został okrutnie pobity). Rzeczy złożyliśmy w jednym miejscu. Po pół godzinie nadjechał drugi transport grabarzy, tych z sąsiedniej piwnicy. I oni również przeszli tę samą procedurę. Cały teren obstawiony był przez żandarmów z karabinami maszynowymi, las naszpikowany patrolami żandarmerii. Żandarmów wzywano do nieustannej czujności. Ósemka wydzielonych pracowała w dole, około 20 kroków od nas. Jeden z nich, dziewiętnastoletni Mechł Wilczyński z Izbicy, odezwał się do mnie: Żegnaj, obyście pozostali przy życiu. My umieramy, ale wy spróbujcie wydostać się z tego piekła. – Inni milczeli, dobiegły tylko ich westchnienia.

[5] Po dwóch godzinach przyjechało pierwsze auto z Cyganami. Stwierdzam stanowczo, że egzekucje dokonywane były w tym samym lesie. Samochód gazowy zwykle zatrzymywał się ok. 100 metrów przed zbiorowym grobem, ale dwukrotnie zatrzymał się w odległości ok. 20 metrów od grobu, raz właśnie tego czwartku, drugi raz w środę 14, był to transport z Żydami. Jak nam opowiadali „dołowi”, w kabinie szofera znajduje się specjalny aparat z przyciskami, połączony dwiema rurami z wnętrzem samochodu. Kierowca (było ich dwóch w dwóch samochodach gazowych, zawsze ci sami) naciskał przycisk i wysiadał z kabiny. Wkrótce potem dobiegały z wnętrza krzyki, rozpaczliwe szlochy i łomotanie w ściany. Trwało to około 15 minut, po czym kierowca wracał do kabiny, gdzie świecił elektryczną latarką przez szybę do środka, by sprawdzić, czy wszyscy są już martwi, i podjeżdżał samochodem na odległość ok. 6 m od grobu. Po dodatkowych pięciu minutach postoju „Bykowiec” (to ów komendant SS) rozkazał czterem „dołowym” otworzyć

²² Żydzi, wychodzić (niem.).

drzwi. Buchał ostry zapach gazu. Odczekawszy znów ok. 5 minut, „Bykowiec” wrzasnął: *Ihr Juden, geht tefilin legen*²³ – co oznaczało wyrzucać zwłoki.

Leżały one splątane, w brudzie własnych odchodów, wyglądały jakby dopiero co ułożone do snu, bez bladeści policzków, z naturalną barwą skóry. Ciała były jeszcze ciepłe, tak że „dołowi”, jak nam mówili, ogrzewali się przy zwłokach. Podaję jeszcze kolejność robót: czterech „dołowych” wyrzucało zwłoki, oczywiście poganiani biciem i wrzaskami; zwłoki wyrzucało się bezwładnie na stos, dwóch innych ścigało dalej zwłoki ku dołowi i wrzucało je do wykopu. Tam znów na dole stali jeszcze dwaj, którzy je układali według wskazań esesmana. Po opróżnieniu samochodu „dołowi” zabierali się do usuwania nieczystości. Wyjmowało się słomiankę i drewnianą ramę z listwami, a auto czyściło się własnymi koszulami przed ponownym założeniem listwy i słomianki. Podwójne drzwi zewnętrzne zamykano na zewnętrzną zasuwę. Zamykanie drzwi wymagało pewnego doświadczenia; ponieważ codziennie robili to nowi ludzie, byli oni morderczo bici przez „Bykowca”.

Po odjeździe samochodu i ułożeniu zwłok „dołowi”, żeby się ogrzać, wciągali na siebie kolorowe ubrania cygańskie i siadali na zwłokach w grobach. Wyglądało to tragikomicznie. W ogóle tym więźniom nie wolno było zadawać się z innymi robotnikami. Zostawiano ich w czasie obiadu w wykopie, gdzie otrzymywali tylko gorzką czarną kawę bez kruszyny chleba. Odbywało się to tak: Jeden z żandarmów długą chochlą napełniał garnczek kawy. Po wypiciu go przez jednego żandarm znów napełniał ten sam garnczek i kazał drugiemu wypić. Tych ośmiu traktowano jak trędowatych.

Z upływem pół godziny nadjechało drugie auto z Cyganami. Zatrzymało się ono w odległości nie 20 metrów, ale ok. 100 metrów od nas, żebyśmy nic nie słyszeli (głuche krzyki rozpaczki wyprowadzały nas z równowagi). Do obiadu załatwiliśmy 3 samochody, po obiedzie – 4 (zwykliśmy je liczyć).

I znowu nasz obiad składał się z zimnej czarnej, niesłodzonej kawy i zmarzniętego suchego chleba. O piątej po południu zakończyliśmy nasz dzień roboczy. Tym ośmiu „dołowym” nie pozwolono opuścić grobu. Kazano im położyć się twarzą do cygańskich trupów. Żandarm zabijał ich z broni maszynowej.

Zaraz po powrocie do pałacu, który znajdował się ok. 100 metrów od szosy, szybko zamykano za nami bramę, aby miejscowi chłopcy niczego nie podpatrzyli. Jechało z nami siedmiu żandarmów z przodu i trzech z tyłu. Pierwszych wysiadło na dziedziniec siedmiu żandarmów. Z bronią maszynową w rękach obstawili oni samochód. Potem wysiadło pozostałych trzech żandarmów, a na końcu kazano wsiąść nam i ustawić się dwójkami. Po przeliczeniu zaprowadzono nas znów do piwnicy. Ta sama ciemnica i zimno. Ktoś się odezwał: To jest prawdziwy raj w porównaniu ze straszliwym cmentarzyskiem. Zrazu przysiedliśmy w ciemnicy na słomie. Po chwili znów wstrząsnął nami ogrom tragicznego losu...

²³ Dosłownie: Żydzi, idźcie zakładać tefilin (niem.).

Piętnastoletni Moniek Halter z Izbicy, ten sam, który przez cały czas trzymał się mnie kurczowo, objął mnie, pocałował i powiedział: Jesteśmy już wszyscy zgubieni – i powtórzył, że pragnąłby, by jego śmierć stała się ofiarą za życie matki i sióstr.

W ciemności odzywają się głosy: Znowu ośmiu niewinnych ludzi spośród nas zeszło z tego świata. – I nie było końca łkaniom i łzom.

[6] Około siódmej kucharz przyniósł wiadro zupy z brukwi i przelał ją do naszej miski. Część z nas, ci najgłodniejsi, co nieco przełknęli, większość jednak nie tknęła jedzenia. Do garnczków z zimną zupą z brukwi ściekały gorące łzy. Wraz z zupą przyniesiono lampkę naftową. Niemal wszyscy gotowi byli pogodzić się z losem, pozostać nawet do końca życia w tym przerażającym więzieniu, gdyby za tę cenę udało się ocalić najbliższych i może doczekać odwetu na zbrodniarzach. Po pewnym czasie żandarm rozkazał nam śpiewać. Nie usłuchaliśmy. Dopiero kiedy zagroził nam zastrzeleniem i nawet otworzył w tym celu drzwi piwnicy, moi dwaj towarzysze z legowiska, Meir Piotrkowski z Izbicy i Jehuda Jakubowicz z Włocławka (ostatnio mieszkał w Izbicy), zaczęli usilnie mnie prosić, żebym wstał i zaczął śpiewać. Mimo potwornego zmęczenia wstałem, sam nie wiem, skąd wziąłem na to siły, i łamiącym się głosem zwróciłem się do moich towarzyszy niedoli: Koledzy i obywatele, podnieście się i śpiewajcie wraz ze mną. Naprzód nałożymy czapki na głowy²⁴. – Wszyscy wstali. Koszulą nakryto wiadro z nieczystościami. Niecierpliwy żandarm, który stał w otwartych drzwiach, ponaglał nas gniewnym głosem. Zaintonowałem więc: *Szma Israel, Adonaj Elohejnu, Adonaj Echad*. – Moi towarzysze, wzruszeni, powtórzyli za mną te słowa. Potem ciągnąłem dalej: *Baruch Szem kawod malchuto leolam waed*²⁵ – a za mną głośno podjęli pozostali, i tak trzykrotnie. Czuliśmy się tak, jak gdybyśmy mieli za chwilę zakończyć życie. Ogarnęła nas niezwykła żałość i drzenie. Byliśmy skupieni, tak jak byśmy stali przed Sądem Ostatecznym. Łudziliśmy się jednak, sądząc, że na tym się skończy. Żandarm zażądał więcej. Powiedziałem więc: Koledzy i obywatele, zaśpiewajmy teraz „Hatikwę”!²⁶ – Z przykrytymi głowami odśpiewaliśmy tę pieśń, która brzmiała jak modlitwa. Potem żandarm wyszedł i znów zamknął nas na trzy spusty. Nie sposób się było powstrzymać od płaczu. Powiedzieliśmy: takiego barbarzyństwa jeszcze nie było na świecie. Żeby tak mordować niewinnych Żydów i Cyganów i jeszcze zmuszać przy tym do śpiewania. Oby się już z nim skończyło jak z Hamanem. Mógłby już Pan Świata odwrócić od nas swą karzącą dłoń. – Na to odezwał się Mojżesz Asz z Izbicy: Wypadło nam być ofiarami. Nie inaczej, tylko zbliżają się czasy Mesjasza²⁷.

²⁴ Judaizm wymaga od mężczyzn nakrycia głowy, zwłaszcza podczas modlitwy.

²⁵ Błogosławione imię Jego godności królewskiej, po wsze czasy (hebr.).

²⁶ Nadzieja (hebr.), obecnie hymn państwa Izrael, w okresie poprzedzającym powstanie państwa pieśń powszechnie uznawana była za żydowski hymn narodowy.

²⁷ Nadejście Mesjasza w tradycji starotestamentowej łączone jest z końcem świata, apokalipsą.

Strażnik znów otworzył drzwi i cywilny niemiecki kucharz wniósł wiadro czarnej gorzkiej kawy, którą przelano do miski. Niezjedzoną zupę z brukwi wylano do wiadra z nieczystościami. Każdy sięgnął po kawałek chleba i nieco kawy.

Po piętnastu minutach żandarm znów zażądał śpiewów. Usiłowaliśmy się wymówić zmęczeniem, daremnie. Kazał, żebyśmy powtarzali: *Wir Juden danken Adolf Hitler für diese Sache*²⁸. Powtórzyliśmy. Potem dodał: *Wir Juden danken Adolf Hitler für das Essen*²⁹. Również i to powtórzyliśmy. Wreszcie zażądał pieśni. Śpiewaliśmy „Hatikwę”, a potem „Beszuw Adonaj”³⁰; była to odpowiedź na naszą mękę. I ponownie zostaliśmy zaryglowani.

Zasnęliśmy kamiennym snem. Czy to z powodu majaczeń, czy z zimna, obudziłem się wśród ciemności i zacząłem od początku rozmyślać nad sytuacją: O, rozpacz, jeśli jest Bóg w niebie, to jak może dopuścić do tego, że morduje się niewinnych ludzi! Niechby dokonał cudu. Nagle pomyślałem, że wydostanę się z tego więzienia. Przy migocącym płomyku lampki podszedłem do zamurowanego okienka i z pomocą noża próbowałem wykruszyć cegłę, jednak na próżno. Mróz, który panował również w środku, ściał cegły na skałę. Po dwóch godzinach daremnego mocowania się zrezygnowałem i położyłem się z powrotem na legowisku.

Okolo piątej nad ranem wszyscy z powodu zimna się obudzili. Rozpoczęły się rozmowy. Gecel Chrząstowski³¹ z Bundu i Ajzensztab, obaj z Kłodawy (Ajzensztab miał przedtem sklep z futrami we Włocławku), zupełnie stracili wiarę w Boga, skoro nie ujmuje się [za] krzywdy cierpiących. Inni natomiast, wśród nich i ja sam, jeszcze się utwierdzili w wierze, powtarzając za Mojżeszem Aszem, że zbliżają się czasy Mesjasza.

W piątek, 9 I 1942, o siódmej rano znów przyniesiono gorzką kawę. Na pytanie, czy mamy dość chleba, odpowiedzieliśmy, że dość, nie zjedliśmy bowiem nawet tego chleba, cośmy mieli. O ósmej przyszli esesmani, którzy w korytarzu odebrali raport, że z Żydami nic się nie działo. Kazano nam wyjść i przeliczono nas. Dziedziniec już był otoczony przez około 20 żandarmów z karabinami maszynowymi. Znów przeliczono (pierwszego dnia, gdyśmy zobaczyli wyciągnięte w naszym kierunku lufy, [7] obleciał nas paniczny strach, sądziliśmy, że nas zastrzelą).

Na dziedzińcu zobaczyliśmy dwie wielkie odkryte ciężarówki pełne Cyganów, mężczyzn, kobiet i dzieci, wraz z ich dobytkiem. Szybko załadowano nas na naszą ciężarówkę z plandeką, byśmy nie mogli porozumieć się z Cyganami. Był to właściwie jedyny przypadek, że w ogóle zobaczyliśmy żywe ofiary. W samochodzie

²⁸ My, Żydzi, dziękujemy Adolfowi Hitlerowi za to wszystko (niem.).

²⁹ My, Żydzi, dziękujemy Adolfowi Hitlerowi za to jedzenie (niem.).

³⁰ A Bóg pozwoli na powrót (hebr., cytat z Psalmu 126).

³¹ W dokumentach wymieniany także jako Chrząstkowski lub Cząstkowski, zob. ARG I 1057 (Ring. I/394), dokument opublikowany w *Archiwum Ringelbluma*, t. 9, s. 57–64.

staliśmy z przodu, mając 7 uzbrojonych żandarmów za plecami. Za nami jechał osobowy wóz z esesmanami.

Na miejscu znów obstawili nas żandarmi. Rozebraliśmy się, jak zwykle, do roboty, po czym nas przeliczono i wybrano 8 „dołowych”. Wzięliśmy kilofy i szpadle do ręki i przystąpiliśmy do roboty. Grób u dna miał około półtora metra szerokości, wykop szedł skosem do góry, na powierzchni miał 5 m szerokości i 5 m głębokości, ciągnął się podłużną linią. Jeżeli przeszkadzało drzewo, to się je ścinało. Trzeciego dnia robota przebiegała w sposób szczególnie okrutny i ciężki. Już po godzinie przybyło pierwsze auto z Cyganami, a w 20 minut później następne. „Bykowiec” szalał. Podczas roboty udało nam się nieco zbliżyć do ośmiu „dołowych”, wśród których byli: Abram Zieliński z Izbicy, lat 32; Brawman z Izbicy, lat 17; Załman Jakubowski, lat 55, Gerszon Praszker z Izbicy. Około trzeciej, kiedy nie było wiele roboty (w tym momencie ich tak nie popędzano), Gerszon Praszker, stojąc w głębi grobu, wyciągnął modlitewnik, nakrył dłonią odkrytą głowę i odmówił modlitwę. Około jedenastej odezwali się do nas: Giniemy straszną śmiercią, niechby to było odkupieniem za naszych bliskich, za cały naród. Więcej już nie zobaczymy świata.

Tego dnia jedliśmy obiad o pół do drugiej. Mróz dochodzi 20 stopni. Żandarmi rozpalili sobie ognisko, przy którym rozmrozili nasz chleb, osmalony i spalony. Obiad trwał bardzo krótko, nadeszło bowiem dalsze auto z cygańskimi ofiarami. Po obiedzie „Bykowiec” oddalił się nieco w głąb lasu i wypił butelkę wódki. Wróciwszy do nas, zaczął wrzeszczeć: *O, ihr Hellblaue, ihr wollt nicht arbeiten!*³² – i puścił w ruch swój instrument. Pastwił się nad więźniami, krwią ociekały głowy, nosy, czoła, twarze, opuchlizną podbiegały oczy. Tego dnia pochowano 8 albo i 9 transportów cygańskich. Skończyliśmy o pół do szóstej. Jak zwykle, zabito owych ośmiu. Kazano szybko się ubrać i zapędzono nas do samochodu. Kilkakrotne liczenie było przez cały czas skrupulatnie przestrzegane.

W chełmińskim pałacu zobaczyliśmy, ku naszemu bolesnemu zaskoczeniu, nową grupę, prawdopodobnie grabarzy: 16 ludzi z Izbicy i 16 z Bugaju³³. Wśród izbiczan znaleźli się: Mojżesz Łeppek, około 40 lat; Awigdor Polański, około 20 lat; Sztajer, około 55 lat; Król, około 45 lat; Icchak Prajs, około 45 lat; Jehuda Lubiński, 31 lat; Kalman Radziejewski, 32 lata; Menachem Arcichowski, około 40 lat; a z Bugaju, mój kolega i przyjaciel, Chaim Ruwen Izbicki, 33 lata.

Dwadzieścia osób starych grabarzy i pięciu nowych, razem 25 osób, zapędzono do piwnicy, która była nieco mniejsza od poprzedniej. Znaleźliśmy w niej pościel, bieliznę, spodnie, marynarki i żywność (chleb, cukier, smalec). Rzeczy należały do nowych grabarzy. Wyczerpani i załamani rozsiedliśmy się na paczkach. Pierwsze pytanie, jakie zadaliśmy nowym, brzmiało: czy wśród nich nie znajdują się nasi

³² O, wy, jasnoniebiescy, nie chcecie pracować! (niem.).

³³ Bugaj (pow. Koło), niem. Bugitten, miejscowość leżąca wraz z pobliskimi Nowinami Brdowskimi w gminie Lubotyń, w której znajdowało się tzw. wiejskie getto. Transport z Bugaju (600 osób) przybył do Chełmna 13 stycznia 1942 r.

krewni i bliscy. Płakaliśmy. Z sąsiedniego pomieszczenia dochodziły głosy. Przyśtałem do ściany i w miejscu, gdzie przebiegał przewód wentylacyjny – brakowało tam jednej cegły – zastukałem, krzyżąc w otwór, czy znajduje się tam Chaim Ruwen Izbicki z Bugaju. Podszedł do ściany. Zapytałem go, czy jego rodzicom i siostrom udało się przynajmniej uciec. Strażnik przerwał tę rozmowę.

Podczas ^dkolacji^{d34} Sztajer rozdzielał nam smalec, mówiąc: Oby Bóg dał, żebym nie musiał przyglądać się męce, żebym już jutro znalazł się na tamtym świecie – nazajutrz rzeczywiście został zastrzelony. Mojżesz Łeppek zaś rozdzielał cukier. Po kolacji przykryliśmy wiadro z nieczystościami i odmówiliśmy modły wieczorne; modlitwa przeplatała się ze łzami. Potem nowo przybyli opowiedzieli nam nieco o polityce. Powiedzieli, że Rosjanin zajął już Smoleńsk i Kijów, że zbliża się do nas. Życzyliśmy więc sobie, żeby przyszedł i roztrzaskał bombami to straszne miejsce. Niektórzy z nas wskazali już nawet miejsca, gdzie się ukryją podczas bombardowań. Inni natomiast sądzili, że to musi potrwać co najmniej z miesiąc, a do tego czasu nas już nie będzie na świecie. [8] Nikt nie wierzył, że normalną drogą wydobędzie się z tego piekła. Niektórzy, nawet starsi ludzie, całkowicie utracili wiarę w Boga. Mówili: to są bajki. Nie ma Boga, skoro widząc nasze męki, nie daje pomocy – lecz ludzie umocnieni w swej wierze, między nimi i ja, utrzymywali, że nie jesteśmy w stanie zgłębić wyroków boskich. Wszystko zależy od Boga. W końcu nakryliśmy się ubraniami i zasnęliśmy.

Jeszcze jedno ważne spostrzeżenie: w czwartek i piątek [8 i 9 stycznia], ostatnim autem każdego dnia przywożono żydowskie transporty. Byli to mężczyźni, młodszy i starsi, z gwiazdami Dawida naszytymi z przodu i z tyłu ubrań, z walizkami i plecakami. Wywnioskowaliśmy, że byli to chorzy więźniowie z obozów. Pochowano ich wraz ze wszystkim, co mieli na sobie. Sprawa ta wstrząsnęła nami do reszty, jako że do tego czasu mieliśmy nadzieję, iż Żydzi w obozach przetrwają tragiczny czas.

W sobotę, 10 stycznia, o siódmej rano przyniesiono śniadanie: gorzką kawę i chleb. Po śniadaniu Mojżesz Łeppek, a my za nim, odmówił modlitwę, spowiedź przedśmiertną. Potem było znowu piekło kilkukrotnego odliczania i widoku wycelowanych w nas łuf karabinowych, by znaleźć się znowu w samochodzie. Pięciu nowym przykazaliśmy, by trzymali się blisko nas. Razem z nowymi grupa nasza liczyła 53 osoby. W samochodzie staliśmy mocno stłoczeni. Za nami stało dziesięciu żandarmów z wycelowanymi karabinami, z tyłu jak zwykle podążał wóz osobowy z esesmanami. Na miejscu wyodrębniono poprzednią grupę więźniów, która przygotowywała się do roboty, gdy tymczasem nową poddano wszystkim znanym nam udrekom. Tym razem nie wydzielono od razu owych ośmiu „dołowych”. Około jedenastej zjawilo się pierwsze auto z żydowskimi ofiarami.

Ofiary: mężczyźni, kobiety i dzieci, były w samej bieliźnie. Kiedy wyrzucano je z samochodu, podchodzili dwaj cywilni Niemcy i dokonywali dokładnej rewizji zwłok w poszukiwaniu kosztowności. Zrywali łańcuszki z szyi, ściągali obrączki

³⁴ ^{d-d} Słowo w j. pol. zapisane alfabetem hebr.

z palców, wrywali złote zęby z ust. Zagląдали nawet do kieszki stolcowej, a kobietom do organów rodných. Było to robione w bardzo brutalny sposób. Dalszy ciąg procedury przebiegał zgodnie z ustalonym planem. Dopiero po zjawieniu się tego żydowskiego transportu wybrani zostali „dołowi”, jak zwykle ośmiu. W transporcie byli Żydzi z Kłodawy, co stwierdził Gecel Chrzęstowski, sam kłodawianin. Po uporaniu się z tym pierwszym samochodem „dołowi” wrócili do poprzedniej roboty, tj. do zakopywania zwłok. O pół do drugiej było już drugie auto. W pewnym momencie Ajzensztab, również kłodawianin, zaczął cicho płakać, mówiąc, że nie ma już po co żyć, zobaczył bowiem, jak zakopywano zwłoki jego żony i piętnastoletniej jedynaczki. Już miał prosić Niemców, by go rozstrzelali, bo chciałby leżeć w jednym grobie ze swymi najbliższymi. Wyperswadowaliśmy mu to jednak, tłumacząc, że nie ma się co spieszyć, a tymczasem może udać się ucieczka, by wziąć odwet.

Za kwadrans druga, w porze naszego obiadu (gorzka czarna kawa i zmarznięty chleb), gdy ośmiu „dołowych” kończyło układanie zwłok, nadjechały 2 samochody z wyższymi oficerami SS. Wysiedli, z wyraźnym zadowoleniem obejrzeni groby, wysłuchali raportu „Bykowca”, ściskając mu z uznaniem dłón, po czym odjechali. Po obiedzie pochowaliśmy w wielkim pośpiechu 5 dalszych transportów. Około szóstej wszyscy wzięli się za zasypywanie grobu. Grób został zrównany z ziemią. Wieczorem jak zwykle wróciliśmy do pałacu. Przypadkowo do naszej grupy przyłączył się Chaim Ruwen Izbicki.

W celi wszyscy wybuchnęliśmy płaczem. Początkowo nie poznałem nawet swego najlepszego przyjaciela, Izbickiego. Byliśmy tak załamani, że płacz był dla nas naturalny. Najwięcej rozpaczał wdowiec Ajzensztab. Po kolacji (ćwierć litra kartoflanki na osobę i czarna gorzka kawa z chlebem) wynieśliśmy wiadro z nieczystościami i przy kopcącej lampce odprawiliśmy modły wieczorne. Na końcu Ajzensztab odmówił modlitwę pośmiertną, kadsiz. Rozmawialiśmy tylko o wielkim nieszczęściu, jakie spotkało nasz naród. Widzieliśmy na własne oczy, jak zmiata się z powierzchni ziemi całe skupisko żydowskie (Kłodawa). Nikt nie mógł oka zmrużyć. W pewnej chwili Ajzensztab zerwał się z barłogu i w najwyższym zdenerwowaniu zaczął szlochać. Krzyczał, że nie ma już po co żyć, że odebrano mu [9] wszelką nadzieję. Bił głową o ścianę, rozpaczał, że nie może sobie życia odebrać. Zmęczony położył się z powrotem i zasnął. Ja całą noc czuwałem. Objąłem moich dwóch towarzyszy z legowiska: Meira Piotrkowskiego i Jehudę Jakubowicza, przytulilem się do nich i cicho płakałem.

W niedzielę, 11 I, o godzinie 7 rano przyniesiono nam śniadanie i jednocześnie zawiadomiono nas, że tego dnia nie będziemy pracować. Po modłach porannych i kadsizu pozostaliśmy w naszej piwnicy – raj. Nie odmówiliśmy modlitwy-spo-wiedzi. I znów potoczyły się rozmowy o polityce, Bogu i naszym położeniu. Każdy chciał doczekać wyzwolenia, lecz największym naszym pragnieniem było ocalenie narodu. Wszyscy z radością oddaliby swe życie, byleby tylko naród nasz się ostał. O jedenastej wypędzono nas do pracy przy przesunięciu unieruchomionego

z powodu mrozu samochodu. Na dziedzińcu stało szare auto gazowe. Chciałem już w pewnym momencie uciekać, ale w ostatniej chwili opuściła mnie odwaga. Po robocie zapędzono nas z powrotem do piwnicy. O pierwszej dali nam obiad: zupę z brukwi i chleb. Po obiedzie rozłożyliśmy się na pakach. Część ściągnęła buty. Nareszcie zdrzemnęliśmy się na kilka godzin. Przy zmianie warty o szóstej strażnik znów kazał nam śpiewać. To nie był śpiew, lecz krzyk łamiących się ze wzruszenia głosów układających się w „Szma Israel” oraz „Hatikwę”. Potem zjawił się wyższy oficer SS, który zwymyślał strażnika, twierdząc, że Żydom nie wolno śpiewać. O siódmej zjedliśmy naszą kolację, potem wynieśliśmy wiadro z nieczystościami, odprawiliśmy modły wieczorne wraz z kadiszem, ułożyliśmy się na barłogach, nakryliśmy paltami i zapadliśmy w drzemkę.

W poniedziałek, 12 I, o piątej rano zebrało się 6 osób i stanęło do odmawiania Psalmów, płacząc gorzko. Pozostali leżeli, zupełnie obojętni. Niektórzy wręcz pokpiwali z naszej pobożności, mówili, że Boga z pewnością nie ma i wszystkie nasze próby pocieszenia wydają się dziecinnymi bajkami. My natomiast odpowiadaliśmy, że nasze życie jest w ręku Boga, i że skoro taka jest Jego wola, przyjmujemy ją z pokorą, zwłaszcza iż nadchodzą już przecież czasy Mesjasza.

Po porannych modłach i odmówieniu kadiszu, w którym nawet Ajzensztab brał udział, odmówiliśmy spowiedź przedśmiertną. O siódmej przyniesiono nam kawę i chleb. Kilku izbiczan (ostatnio mieszkali w Kutnie) zabrało dla siebie całą kawę. Wszyscy pozostali potępili to, mówiąc, że i tak znajdujemy się w obliczu śmierci, należy więc zachowywać się godnie. Postanowiono na przyszłość wydzielać kawę. O pół do dziewiątej byliśmy już wszyscy przy robocie. O pół do dziesiątej przybyło pierwsze gazowe auto. Wśród 8 „dołowych” znaleźli się: Aron Rozental, Szlojme Babiacki i Samuel Bibergal, wszyscy w wieku od 50 do 60 lat.

Tego dnia popędzano nas ze szczególnym bestialstwem. Nie pozwolono odczekać, by po otwarciu auta z ofiarami gaz się ulotnił. Krzyki katowanych są nie do opisanego. Zaraz po pierwszym aucie przybyło drugie, a przed dwunastą było już trzecie. Kiedyśmy poszli na obiad, a owych ośmiu jeszcze pozostało w dole, by zakończyć partię, nadjechała czarna limuzyna, z której wysiadło 4 oficerów SS. Również i oni wysłuchali raportu „Bykowca”, ściskając mu dłoń z wielkim uznaniem. Dając wyraz swemu zadowoleniu, „Bykowiec” jeszcze raz skatował „dołowych”. Po odjeździe esesowców ósemka „dołowych” też zabrała się do swego nędznego obiadu: gorzkiej kawy i zmarzniętego chleba. Około pierwszej nadjechało dalsze auto z ofiarami. Tego dnia, a pracowano do godziny szóstej, pochowano 9 aut, każde przywiozło 60 Żydów, razem przeszło 500 ofiar z Kłodawy.

W pewnej chwili kolega mój Gecel Chrzastowski poznał swego czternastoletniego syna, którego wrzucono do grobu³⁵. I on chciał już prosić Niemców, by

³⁵ Kilka dni wcześniej Chrzastowski w drodze do lasu wyrzucił przez okno samochodu list do syna, dołączył do niego zegarek i obrączkę, które miały być zapłatą dla doręczyciela listu.

go zastrzelili. Lecz udało nam się odwieść go od tego zamiaru. Twierdziliśmy, że należy również i to cierpliwie znieść, z myślą o zemście, aby później odpłacić się Niemcom. Po robocie zabito trzech starych „dołowych”, a nam kazano szybko zasypać grób... Z powodu późnej godziny – było już prawie zupełnie ciemno, Niemcy, obawiając się prawdopodobnie oporu, pospiesznie nas rozdzielili i zapędzili do auta. Wraz z nimi jechało siedmiu żandarmów. Do naszego „azyłu” przybyliśmy dopiero wieczorem. Zrozpaczeni synowie dwóch zabitych, Rozentala i Bibergala, głośno płakali. Pocieszaliśmy ich, że przecież wszyscy zginiemy, więc w końcu wszystko jedno, kogo pierwszego los zabierze. Tym razem i ci dwaj dołączyli do kadiszu.

[10] Po kolacji, która składała się jak zwykle z brukwianki i gorzkiej czarnej kawy z suchym chlebem, a którą zgodnie z podjętym porozumieniem sprawiedliwie rozdzielono, Mojżesz Łepok odmówił modlitwę-spowiedź przedśmiertną, gdyż postanowił odebrać sobie życie, nie chcąc więcej przyglądać się cierpieniom swoich najbliższych. Rozdał wszystko, co miał: chleb, sztuczny miód i ubranie. W tym czasie usłyszano jakiś hałas na korytarzu, a druga grupa z sąsiedniego pomieszczenia piwnicznego przekazała nam przez ścianę, że Niemcy schwytali Żyda z Kłodawy. Nazajutrz opowiedzieli nam następujące szczegóły: schwytany przez Niemców Goldman z Kłodawy opisał dokładnie, w jaki sposób Żydów zapędza się do samochodu gazowego. Gdy ich prowadzono do pałacu, obchodzono się z nimi bardzo uprzejmie. Stary Niemiec, lat około 60, z długim cybuchem w ustach, pomagał matkom zdejmować z samochodu ich pociechy. Niemowlęta sam brał na ręce, aby matkom lżej było schodzić, pomagał starcom dojść do pałacu, jednym słowem wrzucał nieszczęsnych swą łagodnością i uprzejmością. Wprowadzono ich do ciepłego pomieszczenia, w którym grzały dwa piece. Podłoga wyłożona była drewnianą kratownicą, jak w łaźni. Tu ów stary Niemiec i oficer SS wygłosili przemówienia, zapewniając Żydów, że pojedą do getta w Litzmannstadt³⁶, będą tam pracować i staną się pożytecznymi ludźmi. Kobiety będą prowadziły gospodarstwo, dzieci pójdą do szkoły, jednak przed wyjazdem muszą się poddać dezynsekcji. W tym celu wszyscy mają się rozebrać i pozostać w samej bieliźnie. Rzeczy zostaną odparowane. Przedmioty wartościowe i dokumenty należy wyjąć, zawinąć w chustkę i oddać na przechowanie. Jeżeli kto ma pieniądze papierowe, schowane albo zaszyte w odzieży, winien je bezwzględnie wypruć, gdyż w przeciwnym razie ulegną spaleni w piecu. Ludzie muszą się wykapać. Stary Niemiec bardzo uprzejmie

Przesyłkę znalazł leśniczy, Aleksander Kamiński, przeczytał list, ale go nie dostarczył adresatowi, ponieważ tymczasem Żydów z Kłodawy deportowano. Informacja na podstawie zeznań Kamińskiego (zob. *Chełmno and the Holocaust*, przyp. 15, s. 241–242).

³⁶ Okupacyjna nazwa Łodzi, nadana 11 kwietnia 1940 r. na cześć Karla von Litzmanna (1850–1936), pruskiego generała i nazistowskiego polityka, wsławionego bitwą pod Łodzią 1914 r., którą dowodził.

prosił wszystkich, żeby udali się do łaźni, i otworzył drzwi, za którymi prowadziło około 15–20 stopni w dół, lecz tam był już mróz. Niemiec łagodnie zapewniał, że dalej będzie ciepłej. „Dalej” był dość długi korytarz, prowadzący na rampę. Podjeżdżał tam samochód gazowy. W tym momencie zniknęła cała łagodność. Z wściekłą brutalnością zapędzano ludzi do samochodu. Żydzi spostrzegli się, że zbliża się śmierć i rozpaczliwie wołali: *Szma Israel*. – Przy wyjściu z ciepłego pomieszczenia znajdowała się po prawej stronie mała komórka. Tam właśnie Goldman się ukrył. Po przesiedzeniu jednak 24 godzin na trzaskającym mrozie, postanowił, zupełnie już niemal skostniały, poszukać jakiegoś nakrycia. Złapano go i wtrącono pomiędzy grabarzy. Tam koledzy go ocucili. Dali mu nieco do jedzenia i zaopatrzyli w spodnie i palto. U nas toczyły się na ten temat bardzo ożywione rozmowy. Każdy mówił sobie, że będąc na miejscu Goldmana, lepiej by sobie poradził. Około trzeciej w nocy Mojżesz Łeppek obudził wszystkich, każdego pocałował, pożegnał i przygotował sobie sznur do powieszenia. Ale przy założeniu pętli na szyję opuściły go siły. W żaden sposób nie potrafił sobie odebrać życia.

We wtorek, 13 I, o siódmej, ledwośmy po śniadaniu zdążyli odmówić modlitwę przedśmiertną, już nas wszystkich, razem z Goldmanem, załadowano do auta. Na miejscu przygotowaliśmy się do roboty, a Goldmanowi kazano położyć się w grobie, gdzie go zastrzelono. Już o ósmej przybyło auto. Tego dnia wszystkie auta były szczególnie napchane, po 90 trupów w każdym. Po otwarciu drzwi zwłoki same się wysypywały. Mimo morderczego tempa wyładowanie samochodu trwało dłużej niż dotychczas. Tego dnia zlikwidowano żydowskie skupisko w Bugaju. Szło auto za autem. Przy czwartym aucie wyrzucone niemowlę, otulone w poduszkę, nagle zaczęło płakać. Esesmani roześmiali się, zastrzelili dziecko z karabinu maszynowego i wrzucili je do grobu³⁷. W ciągu wtorku pochowano około 800 Żydów z Bugaju.

Pracowano do szóstej wieczorem na wielkim mrozie i pochowano dziewięć aut z ofiarami. Po robocie pięciu spośród „dołowych” zastrzelono.

Po przybyciu do piwnicy wybuchnął wielkim płaczem Michał Podchlebnik³⁸ z Bugaju, który stracił żonę, dwoje dzieci i rodziców. Po kolacji i wylaniu wiadra z nieczystościami część z nas modliła się, a potem rozmawialiśmy. I znów sprawa ucieczki: pragnienie wolności po to, aby zaalarmować całą żydowską ludność, było tak przemożne, że nie było dla nikogo za drogiej ceny. Niektórzy chcieli wykopać

³⁷ O tym wydarzeniu opowiadał także w ustnych relacjach Abram Rój (zob. przyp. 42).

³⁸ Michał (Mechel) Podchlebnik (1907–1985), jeden z sześciu uciekinierów z Chełmna, którzy przeżyli wojnę, syn Jakuba i Sosi z domu Widawskiej, z zawodu rymarz. Zaraz po wojnie powrócił do Koła i złożył zeznanie w śledztwie prowadzonym przez sędziego Władysława Bednarza (zeznanie Michała Podchlebnika z 9 czerwca 1945 r. zob. *Mówią świadkowie Chełmna*, s. 113–123). Wyjechał z Polski, przez kilka lat mieszkał w Niemczech, w 1949 r. dotarł do Izraela. W 1961 r. zeznawał w procesie Adolfa Eichmanna w Jerozolimie, w 1963 r. w procesie przeciwko członkom obozowej załogi w Bonn.

tunel długości [11] ok. 50 metrów. Przeszkoda polegała tylko na tym, że nie wiadomo, co począć z wykopaną ziemią. Inni znów chcieli otworzyć zamurowane okienko (szerokości jednej cegły). Z powodu silnego mrozu nie umieliśmy, choć zdrowe chłopcy, ruszyć ani jednej. Zrezygnowani ułożyliśmy się do snu.

W środę, 14 I, przyniesiono gorzką kawę i chleb. Zaraz po śniadaniu Krzewacki z Kłodawy, który już od pewnego czasu nosił się z myślą o samobójstwie, szybko przygotował sobie pętlę ze sznura i zawiesił wokół szyi. Krzewacki prosił Gecla Chrzastowskiego, ażeby usunął paczkę spod jego nóg i zakneblował mu usta, tak ażeby mógł szybciej stracić oddech. I rzeczywiście Chrzastowski tak uczynił. Krzewacki miał bardzo lekką śmierć. Targnął się na swoje życie, gdyż – jak nam powiedział – nie był w stanie przypatrywać się wszystkim tym okropnościom. Po przecięciu sznura ułożyliśmy z boku jego ciało. Natychmiast po nim postanowił popełnić samobójstwo Gerszon Świątosławski z Izbicy Kujawskiej. Był on towarzyszem pracy Krzewackiego przy grobach i powiedział nam: pracowałem razem z Krzewackim i chcę razem z nim spocząć w grobie. Z powodu późnej godziny – w każdej chwili spodziewaliśmy się strażników – nikt nie chciał Świątosławskiemu pomóc w samobójstwie. Dlatego też on sam pospiesznie wziął sznur, zrobił pętlę, zarzucił sobie na szyję i stojąc na podłodze, celowo skręcał swoim ciałem, ażeby jak najszybciej sam się zadusić.

Podczas tych jego zmagania zapukano do piwnicy. Młody Moniek Halter szybko przeciął sznur. Świątosławski upadł na ziemię i zaczął ciężko dyszeć, gdyż znowu zaczerpnął powietrza. Kiedy strażnik odszedł, nie chcąc go ratować (gdyż po co?), a jednocześnie nie mogąc przypatrywać się jego mękom, prosiliśmy Gecla Chrzastowskiego, ażeby położył temu kres. Chrzastowski zrobił pętlę, zarzucił na szyję i przytrzymując nogami ciało, tak długo ciągnął z całej siły za sznur, dopóki Świątosławski nie wyzionął ducha. Pozostawiliśmy ciała zmarłych, nie przykrywając ich. Tak leżeli oni w ciągu kilku dni.

O ósmej rano byliśmy już przy wykopach. O dziesiątej nadeszło pierwsze auto z ofiarami z Izbicy. Do dwunastej zdołano obrobić trzy szczelnie wypchane auta. Z jednego z tych aut wyciągnięto martwe ciało cywilnego Niemca. Był to jeden z kucharzy. Prawdopodobnie zauważył, że jeden z Żydów ma jakąś kosztowność, pobiegł więc za nim do auta, chcąc ją zrabować. W tym momencie jednak zatrzaśnięto drzwi. Jego krzyki i wrzaski puszczone mimo uszu i oto został uduszony razem z innymi. Zaraz potem, jak go wyciągnięto z auta, nadjechał specjalny wóz z pałacu z sanitariuszem. Zwłoki odwieziono z powrotem³⁹. Niektórzy mówili, że

³⁹ W rzeczywistości był to polski robotnik zatrudniony w obozie, Marian Libelt. Został przypadkowo zamknięty w samochodzie, kiedy nakłaniał innych do wejścia. Ciało Libelta przywieziono na teren pałacu i tu pochowano, prawdopodobnie ciało zostało ekshumowane i wydane rodzinie. Informacja pochodzi od Henryka Maliczaka, Polaka również zatrudnionego w obozie (zob. *Chełmno and the Holocaust*, przyp. 17, s. 242).

go zatruto celowo i że zatruje się wszystkich Niemców z załogi, by nie było świadków zbrodni.

W południe esesmani w dwóch samochodach zabawiali się oglądaniem fabryki śmierci. Po obiedzie pochowano dalszych pięć aut z ofiarami. Z jednego auta wyrzucono młodą kobietę z niemowlęciem przy piersi. Ssać mleko matki, dziecko zginęło. Tego dnia pracowaliśmy do siódmej, przy świetle reflektorów.

I tego dnia jedno z aut przez pomyłkę podjechało tak blisko wykopu, tak że słyszeliśmy stłumione krzyki i rozpaczliwe wołanie oraz walenie w drzwi. Przed końcem pracy zastrzelono sześciu spośród „dołowych”. Przekroczywszy próg piwnicy, wybuchnęliśmy gorzkim płaczem. Po kolacji odprawiliśmy modły wieczorne i odmówiliśmy kadisza. Spaliśmy kamiennym snem do siódmej rano.

W czwartek, 15 stycznia, pojechaliśmy znów bardzo wcześnie do roboty. Jechaliśmy autokarem. W pewnej chwili odezwał się do mnie Moniek Halter, że okienko auta łatwo się otwiera za pomocą korbki. Myśl o ucieczce nie dawała mi spokoju, wszelkimi siłami pragnąłem dotrzeć do żywych Żydów, by im przekazać wieść o całej grozie Chełmna.

Przy pracy byliśmy już o ósmej. O dziesiątej przybył pierwszy transport ofiar, znów z Izbicy. Do obiadu byliśmy gotowi z czterema szczelnie wypełnionymi autami, które czekały w kolejce. Muszę jeszcze raz opisać całą okropność obszukiwania zwłok. Wyobraźcie sobie taką scenę. Ze spiętrzonego stosu ofiar ciągnie Niemiec trupa w jedną stronę, a drugi – w inną. Ogląda się szyje kobiet – czy nie ma złotych łańcuszków, a jeżeli są, zrywa się je od razu. Z palców ściąga się obrączki. Złote zęby wrywa się z ust obcęgami. Potem ustawia się trupa, [12] rozsuwa mu nogi i kładzie rękę do jego kieszki stolcowej. Ze zwłokami kobiet robi się to samo od przodu. Choć działo się tak każdego dnia i przez cały czas, za każdym razem burzyło to krew w żyłach i doprowadzało do wściekłości.

Podczas obiadu doszła mnie smutna wiadomość, że moi kochani rodzice i mój brat leżą już w grobie. O pierwszej byliśmy znów przy robocie. Staralem się podejść bliżej do zmarłych, by po raz ostatni przyjrzeć się moim najbliższym. Oberwałem przy tym zmarłą grudą ziemi od dobrodusznego Niemca z fajką, a „Bykowiec” do mnie strzelił. Nie wiem, czy nie chciał trafić, czy też nie udało mu się, dość, że ocalałem. Nie zważając na ból, pracowałem bardzo szybko, aby zapomnieć choć na chwilę o straszliwej stracie. Zostałem sam, osamotniony na świecie jak kolek. Z mojej rodziny, która liczyła sześćdziesiąt osób, jestem jedynym żyjącym. Przed wieczorem, gdyśmy grabarzom pomagali zasypywać zmarłych, odstawiłem w pewnym momencie szpadel i razem z Mechlem Podchlebnikiem po cichu odmówiliśmy kadisza. Przed wyjściem z wykopu zastrzelono trzech „dołowych”. O siódmej wieczorem odwieziono nas do celi. Ludzie z Izbicy byli zrozpaczeni. Zdaliśmy sobie sprawę, że nikogo z najbliższych za naszego życia już nie zobaczymy. Ja też nie panowałem nad sobą, nic mnie już nie obchodziło. Po modłach wieczornych wszyscy izbiczanie odmówili kadisza.

Tymczasem dowiedzieliśmy się, że w sąsiedniej celi znajduje się osiemnastu grabarzy z Litzmannstadt. Przez ścianę powiedziano nam, że z łódzkiego getta wysłano na razie, według listy Rumkowskiego⁴⁰, 750 żydowskich rodzin. Ta noc była pełna koszmarów i dzikich majaczeń. W nocy silniejsi spośród nas jeszcze raz próbowali wyłamać okienko.

W piątek, 16 stycznia, obudziliśmy się o piątej nad ranem, powtarzaliśmy w tej beznadziejnej sytuacji, że co nam z życia, gdy się jest bez przyjaciela, bez krewnego, bez nadziei na wyzwolenie, nawet nie będzie do kogo się odezwać. W robocie nowi łódzcy grabarze zostali strasznie pobici przez „Bykowca”. Miały to być wskazówki, jak pracować. Około dziesiątej przybyło pierwsze auto. Do pierwszej pogrzebaliśmy cztery transporty. Wszystkie ofiary pochodziły z Łodzi⁴¹. Z ich wychudzenia i podług tego, jak ich ciała pokryte były ranami i wrzodami, poznawało się łódzki głód. Współczuliśmy im, mówiąc, że tak długo cierpieli w getcie i głodowali, aby tylko przetrwać ciężkie czasy, a teraz skończyli tak straszną śmiercią. Zmarli niewiele ważyli. Na każde trzy auta zwłok w warstwie teraz kładziono – cztery. Po obiedzie „Bykowiec” znów wypił butelkę wódki i znów bestialsko katował. W tym czasie pogrzebaliśmy cztery dalsze transporty. W końcu zastrzelono siedmiu grabarzy.

Od piątku zaczęto polewać groby chlorkiem, gdyż czuło się silny odór rozkładających się ciał.

W naszej komorze znalazło się trzech z Łodzi, od których dowiedzieliśmy się dalszych szczegółów o losie 750 rodzin z łódzkiego getta. Przyjechali koleją w czwartek do Koła, tam umieszczono ich w budynku bet ha-midraszu. Wybrano spośród nich osiemnastu silniejszych mężczyzn i wysłano oddzielnie jako grabarzy. Całą naszą kolację zjedli łodzianie, którzy byli bardzo wygłodzeni.

W sobotę, 17 stycznia, przed odejściem do robót odmówiliśmy spowiedź przedśmiertną. Tego dnia pogrzebaliśmy siedem szczelnie wypełnionych aut z łódzkimi ofiarami. Po obiedzie przybyło pięciu esesmanów, oficerów, którzy przyglądali się temu procederowi. O piątej przed zakończeniem roboty nadjechał samochód osobowy z rozkazem, by zastrzelić szesnastu ludzi. Przypuszczaliśmy, że była to kara za ucieczkę Abrama Roja⁴² (uciekł w piątek o dziesiątej wieczorem). Wybrano

⁴⁰ Mordechaj Chaim Rumkowski (1877–1944), w getcie łódzkim pełnił funkcję Przełożonego Starszeństwa Żydów (Judenratu). Na polecenie Niemców tworzył listy osób przeznaczonych do wywiezienia z getta. Sam, wywieziony ostatnim transportem, zginął w niewyjaśnionych do końca okolicznościach w Auschwitz-Birkenau, w sierpniu 1944 r.

⁴¹ Pierwsze transporty z getta łódzkiego (ok. 10 tys. osób) przybyły w dniach 16–29 stycznia 1942 r.

⁴² Abram Rój (1916–1975) – pierwszy uciekinier z Chełmna i jeden z sześciu, którzy przeżyli wojnę. Z zawodu krawiec, pochodził z Izbicy Kujawskiej, dokąd powrócił tuż po wyzwoleniu, syn Icka i Sury. Cała jego rodzina, to jest matka, cztery siostry i brat, zginęli w Chełmnie, ojciec zmarł przed wojną. Abram po ucieczce z Chełmna (do obozu trafił transportem 6 lub 9 stycznia

szesnastu ludzi, kazano im ułożyć się warstwami po ośmiu twarzą do zwłok i z karabinów maszynowych przestrzelono głowy. Po przybyciu do piwnicy sądziliśmy, że w niedzielę, podobnie jak przed tygodniem, nie będziemy pracować. Łodzianie jeszcze nam powiedzieli, że gazeta kosztuje w łódzkim getcie 10 marek. Po kolacji zasnęliśmy kamiennym snem.

W niedzielę, 18 I 1942, dowiedzieliśmy się, że będzie to dzień pracy. O ósmej byliśmy już na miejscu. Z samochodu wyniesiono 20 nowych szpadli i 4 kilofy. Zrozumieliśmy, że fabrykacja nie tylko nie ustanie, lecz jeszcze zostanie nasilona. Zapewne wszyscy Żydzi z Warthegau zostaną zagazowani, bo przecież [13] przyszła już kolej na łódzkich Żydów. Do obiadu pogrzebaliśmy pięć transportów. W niedzielę nie było pełnego kompletu żandarmów, roboty zaś było sporo, więc obiad tego dnia zjedliśmy w wykopie. Widocznie nie byli całkiem pewni, czy nie rzucimy się na naszych katów. Niejeden raz mieliśmy na to ochotę, ale wymierzone w nas lufy karabinów maszynowych paraliżowały nas strachem. Podczas nocnych rozmów często wyrzucaliśmy sobie tchórzostwo, ale po dzień dzisiejszy nie wiem, dlaczego zdrowi ludzie, którzy nie mieli właściwie nic do stracenia, wahali się jednak. Może było tak dlatego, że nie chodziło nam o bohaterski gest, lecz o ucieczkę, by zaalarmować Żydów. Kilka słów o pełniących straż żandarmach. Na ogół odnosili się do nas z wrogością czy obojętnością. Tylko jeden z nich przez cały czas chodził mocno zaszępiony, na nikogo z nas nie krzyczał, nikogo nie poganiał w pracy. Mówiliśmy sobie, popatrzcie, taki ludzki Niemiec, nie może patrzeć na zbrodnie, jakie się tu popelnia.

Po południu pogrzebaliśmy dalsze cztery transporty. Tego dnia nikogo z nas nie zabito. Po modłach wieczornych i kadiszu postanowiliśmy uciekać za każdą cenę. Nie mając grosza przy duszy, poprosiłem Kalmana Radziejewskiego z Izbicy o kilka marek. Wyciągnął zaszyte 50 marek i oddał mi je. Nad ranem usiłowałem wyrwać cegłę; tak silnie podziałał na mnie przykład Roja, który uciekł przez okienko piwniczne. Znów jednak nic nie wychodziło.

W poniedziałek, 19 I 1942, ładowaliśmy się do autokaru. Ja wszystkich puściłem przodem, sam zaś wszedłem ostatni. Żandarmi siedzieli z przodu, za nami zaś tego dnia żandarmi nie jechali. Po mojej prawej stronie było okienko, które otwie-

1942 r.) dotarł do Krośniewic, a później do Wierzbnika (Starachowic). Przeżył Auschwitz, ale jego wojenne losy nie są bliżej znane. W 1946 r. zarejestrował się w Komitecie Żydowskim w Izbicy, podając Łódź jako miejsce zamieszkania. Wkrótce potem wyjechał do Berlina, gdzie poślubił Taubę Pakin z domu Frajllich, również pochodzącą z Izbicy. W 1951 r. oboje wyemigrowali do USA i zamieszkali w Hartford, w stanie Connecticut, zmieniając nazwisko na Roy. Abram Rój nie pozostawił żadnej relacji na piśmie, ale opowiadał o swoich przeżyciach członkom najbliższej rodziny oraz przyjaciółom. W historiografii długo utrzymywał się pogląd, że Abram Rój nie przeżył wojny. Zob. Przemysław Nowicki, *O Abramie Roju, pierwszym uciekinierze z obozu zagłady na polskich terenach wcielonych do Rzeszy*, „Zapiski Kujawsko-Dobrzyńskie” 2008, t. 23, s. 185–200.

rało się w prosty sposób. Odkręciłem je, do wozu wdarł się strumień powietrza. Przeraziłem się i z powrotem okienko zakręciłem. Ale moi koledzy, a zwłaszcza Moniek Halter, dodali mi odwagi. Zdecydowałem się, poprosiłem szeptem kolegów, by ustawili się tak, aby strumień powietrza nie wionął na żandarmów. Szybko odkręciłem okienko, wystawiłem nogi, zsunąłem się niżej, uchwyciłem się dłonią skrzyni, a stopy oparłem na zawiasach drzwi, powiedziałem kolegom, żeby natychmiast po moim wyskoczeniu zakręcili z powrotem okienko i runąłem w dół. Kilka razy przekoziołkowałem, przy czym obtarłem sobie rękę. Moim gorącym pragnieniem było, żeby nie złamać nogi. Wolałbym już złamać rękę, bo najważniejsze było iść przed siebie i dotrzeć do pierwszego żydowskiego osiedla. Spojrzałem, samochód jechał dalej. Nie zwlekając, puściłem się co tchu w piersiach na przełaj przez pola i lasy, aż po godzinie dobrnąłem do polskiej chaty. Wszedłem z pozdrowieniem: ^eNiech będzie pochwalony Jezus Chrystus!^{e43} Zapytałem, jak daleko do Chełmna. Było tylko 3 km. Dostałem duży kawał chleba, który wsunąłem do kieszeni. Gdy opuszczałem chatę, chłop mnie spytał, czy nie jestem przypadkiem Żydem. Zaprzeczyłem śmiało, spytałem jednak, dlaczego mnie o to podejrzewa. Usłyszałem odpowiedź: ^fW tym Chełmnie gazują Żydów i Cyganów^{f44}. – Pożegnałem go polskim zwyczajem i odszedłem. Znów pomaszzerowałem z godzinę i znów doszedłem do polskiej chałupy. Tu mnie poczęstowano białą słodką kawą i pajdą chleba. Domownicy mówili przy tym: ^gw tym Chełmnie marnują Żydów i Cyganów, a jak z nimi skończą, to się do nas wezmą^{g45}. – Roześmiałem się na to. Gospodarze wskazali mi drogę. Poszedłem więc dalej aż do niemieckiej wsi (niemieckie obejścia łatwo było odróżnić od polskich, bo były bogato wyposażone, a na dachach miały anteny). Wymogłem na sobie, że przejdę śmiało przez wieś. Dopiero na końcu trafiłem na polską chatę. I tu okazało się, że znajduję się 10 kilometrów od Grabowa⁴⁶, gdzie mieszkają Żydzi. Podałem się za polskiego rzeźnika, któremu spieszo do Grabowa do pracy. Gospodarz odesłał mnie do sąsiedniej wsi, do niejakiego Grabowskiego, który ma konia z wozem i mógłby mnie odwieźć. Trzymałem się bez przerwy polnych bezdroży, musiałem jednak przebyć kawałek drogi szosą. W pewnej chwili zauważyłem wojskowy samochód. Krew mi odpłynęła z serca. Widziałem się już złapany przez Niemców. W ostatnim momencie chwyciłem pod rękę przechodzącą właśnie wieśniaczkę i skręciłem z nią w boczną drogę, pytając kobieciny, czy nie ma przypadkiem masła do sprzedania. Samochód przejechał. Odetchnąłem z ulgą.

Przez cały czas wzywałem Boga i rodziców, [14] by mi pomogli ocalić naród żydowski. U Grabowskiego przedstawiłem się jako Wojciechowski, który jedzie do Grabowa do roboty. Okazało się, że gospodarz jedzie na targ do Dąbia. Również

⁴³ e-e Zdanie zapisanie w j. pol. alfabetem hebr. (przyp. M. Siek).

⁴⁴ f-f Zdanie zapisanie w j. pol. alfabetem hebr. (przyp. M. Siek).

⁴⁵ g-g Zdanie zapisanie w j. pol. alfabetem hebr. (przyp. M. Siek).

⁴⁶ Grabów (pow. Łęczyca), miasto gminne. Przed wojną w Grabowie mieszkało ok. 915 Żydów.

sąsiad, do którego mnie odesłał, już wyjechał na targ. Uszedłem więc dalej sporo drogi, wciąż myśląc o wielkim pechu, który mnie prześladowuje. Rozpytywałem się o drogę, wystrzegając się posterunków żandarmerii, nie miałem przecież przy sobie żadnych dokumentów. W końcu dotarłem do wsi, 7 kilometrów od Grabowa. Nakłoniłem polskiego chłopca, by mnie za 15 marek odwiózł do miasteczka. Włożyłem jego kozuch i futrzaną czapkę i razem dojechaliśmy do Grabowa w poniedziałek 19 stycznia o drugiej po południu.

Żydzi wzięli mnie za volksdeutscha, nie miałem bowiem znaku hańby⁴⁷. Szukałem rabina. Byłem całkiem zarośnięty (w Chełmnie nie myto się i nie golono). Spytałem: Czy tu mieszka rabin? – Kim pan jest? – Rebe, przychodzę z zaświatów. – Wzrok jego mówił, że bierze mnie za wariata. Powiedziałem: Rebe, nie myśl, że zwariowałem czy niespełna rozumu. Jestem Żydem, przybyłem z zaświatów. Dokonywana jest zagłada narodu żydowskiego. Ja sam pogrzebałem całą gminę żydowską, w tym – moich rodziców, braci i całą rodzinę. Jestem zupełnie osierocony. – Mówiąc to, szlochałem. Rabin spytał: Gdzie się ich morduje? – Odpowiedziałem: W Chełmnie. Wszystkich truje się gazem w lesie i grzebie w jednej mogile.

Służąca (rabin jest wdowcem), o napuchniętych od płaczu oczach, przyniosła mi miskę z wodą. Zaczęłem myć ręce. Rana prawej ręki odezwała się bólem. Gdy wieść rozeszła się po mieście, tłumy Żydów przyszły do rabina i ja im opowiadałem ze szczegółami o okrutnych zdarzeniach. Wszyscy płakali. Jadłem chleb z masłem, pijąc herbatę, i odmówiłem modlitwę dziękczynną.

[tłum. z j. żyd. Jan Leński, przejrzeni i uzupełnili
Shmuel Krakowski i Magdalena Siek]

ARG I 1115a (Ring. I/412)

Opis: odpis (3 egz.), mps, j. żyd., 207×142, 207×295 mm, drobne uszkodzenia i ubytki tekstu, (trzeci egz.: poważne uszkodzenia i ubytki tekstu), k. 42, s. 42.

Inw.: „Zeznanie o obozie śmierci Chełmno Abrahama Bajler (Grunowski) [s] spisane przez Hersza Wassera”.

Inf. na temat nazwiska autora tej relacji zob. „Katalog Archiwum dr. Emanuela Ringelbluma” z 1946 r. (Lb. 1000).

Druk: *Dwa etapy*, s. 112–133; *Mówią świadkowie Chełmna*, red. Łucja Pawlicka-Nowak, Konin–Łódź 1996, s. 17–34; *Chełmno and the Holocaust*, s. 96–111 (w j. ang.).

Zob. HWC, 4/1 (czwarty egz., mps, k. 14).

Edycja na podstawie zachowanych egz. (3), k. 42, s. 42.

⁴⁷ Autor ma na myśli gwiazdę Dawida, którą Żydzi na ziemiach wcielonych do Rzeszy z rozkazu władz niemieckich musieli nosić naszytą na ubraniu, na wysokości serca (w GG obowiązywała noszona na lewym ramieniu opaska, także z gwiazdą Dawida).

b) 5.02.1942, Piotrków [Trybunalski]. Rada Żydowska Piotrków, Zaświadczenie z 5.02.1942 o zameldowaniu Jakuba Grojnowskiego [właśc. Szlamy Bera Winera] na pobyt tymczasowy (Piotrków, ul. Grodzka 3)

Rada Starszych Gminy Żydowskiej

w Piotrkowie

Urząd Meldunkowy

Zaświadczenie

Wymienione poniżej osoby zostały dnia 5 II 42 zameldowane na pobyt tymczasowy w Gminie Żydowskiej w Piotrkowie ul. Grodzka 3

1. Grojnowski Jakub 4. -----

2. -----⁴⁸ 5. -----

3. ----- 6. -----

Piotrków, 5 II 1942 Kierownik Wydziału
[podpis nieczytelny]

[tłum. z j. niem. Alina Skibińska]

ARG I 1115b (Ring. I/412)

Opis: oryg., mps powielony, rkps, atrament, j. niem., 210×103 mm, drobne uszkodzenia i ubytki tekstu, k. 1, s. 1.

Druk: *Oneg Schabbat*, s. 37.

⁴⁸ Rubryki 2, 3, 5, 6 przekreślone ukośną linią.

c) Przed 18.03.1942, b.m. Szlamek [Jakub Grojnowski, właśc. Szlama Ber Winer],
Fotografia



W Dowód pamięci Ofiaruję
swoją podobiznę państwu
Wasser Szlamek
Minnauer
dnia 18/III 1942

[2] W Dowód pamięci Ofiaruję swoją podobiznę państwu Wasser Szlamek War-
szawa dnia 18 III 1942⁴⁹

ARG I 1115c (Ring. I/412)

Opis: oryg., fotografia, 40×65 mm, k. 1, s. 2.

Zał. notka Hersza Wassera w j. żyd. (fragment).

Druk: *Die zweite Etappe*, zdjęcie na okładce i na s. 161; *Oneg Schabbat*, s. 36–37.

⁴⁹ Informacja na s. 2 (rkps, atrament, j. pol.).